

Kościół i polityka

Hierarchowie Kościoła Katolickiego w Polsce doskonale rozumieją, że wpływanie na polityków jest im niezbędne jak powietrze. To jest jedyny sposób na obronę ich obecnego status quo nie tylko w Polsce, ale w całym Kościele Rzymskokatolickim.

Polscy hierarchowie mieli w kraju wpływy, wobec których obecne wydają się znikome, ale w porównaniu do dzisiejszego "posiadania" (wpływów i dóbr) Kościoła w innych krajach są nieporównywalnie wielkie. Nigdy jednak w historii Kościoła, znaczenie polskich hierarchów nie było tak znaczące jego stolicy, jak za czasów pontyfikatu Jana Pawła II. Poza, a właściwie razem z grupą włoskich hierarchów, zakorzenionych w Watykanie z powodu racji chociażby historycznych, to właśnie oni byli w komnatach watykańskich, znaczniejsi niż inni. Nawet jeśli byli gośćmi, nawet jeśli nie pełnili tam żadnych funkcji. Sam fakt, że byli przedstawicielami Kościoła w Polsce był już samą w sobie legitymacją członkowską "special club".

Purpuratom w Watykanie (i nie tylko) na rękę było "zaprzyjaźnianie się" z polskimi hierarchami, których przecież papież Wojtyła często u siebie przyjmował, wielu z nich lubił, z niektórymi się przyjaźnił. Zresztą nawet tym, których nie lubił (np. Rydzyk), nie pozwolił zrobić krzywdy, bo to przecież "swoi".

Ponieważ znaczenie papieża Polaka miało dla Polski znaczenie specjalne, oczywisty jest wzrost wpływów hierarchów w polskim życiu społecznym, Polacy przecież kochali papieża. To on "zaczął" przemiany w Polsce, to on natchnął Solidarność i wsparł walkę o wolność. Hierarchowie wspierani, a nawet namawiani przez papieża czynnie wspierali te zmiany. I chociaż wiara Polaków nie była ani większa, ani mniejsza niż przedtem, papież był pewnym... zjawiskiem, za które warto było wg. Polaków, nawet podświadomie, płacić cenę w postaci godzenia się, patrzenia przez palce, znoszenia (mimo coraz większej liczby odkrywanych patologii, nadużyć i niejasnych sprawek w Kościele) wpływów hierarchów.

Za czasów Jana Pawła II hierarchowie nie musieli zbytnio angażować się w prace legislacyjne. Posłowie "sami z siebie" świadomi konieczności (w pewnym sensie oczywiście) zachowania pewnego rodzaju harmonii między standardem prawa państwa, z którego wywodzi się Karol Wojtyła - jeden z najbardziej znaczących ludzi-symboli na świecie, a wartościami katolickimi ustanawiali prawo, które sędziy boży mogli zaakceptować. Czasem musiał być zawierany kompromis, ale nie było to aż tak trudne, hierarchowie nie naciskali za bardzo, wiedząc że "i tak im się to opłaca".

Po nastaniu na Tronie Piotrowym Benedykta, zaczęło się to zmieniać. Najpierw powoli, z czasem coraz bardziej. Znaczenie hierarchów polskich zaczęło maleć i właściwie ich główne atuty, z czasem to... znajomości. Tylko to im zostało. Tylko i aż, ponieważ Benedykt powymieniał swoich najbliższych współpracowników, ale "aparatus" watykański pozostał praktycznie rzecz biorąc, bez zmian. Nasi hierarchowie mogli więc dalej powoływać się na wpływy w Watykanie, ale z czasem, już tylko do ochrony przed watykańskim "upomnieniem" własnego nagannego postępowania tu, w Polsce, a nie do wykorzystania w walce politycznej. Dziś polscy hierarchowie Kościoła Katolickiego są w odwrocie na watykańskich komnatach. Coraz bardziej więc potrzebni im są politycy, do podtrzymania własnego znaczenia, własnej ważności.



Zaczęli wchodzić z politykami w układy, a to udostępniali kościoły do agitacji wyborczej, a to angażowali się w różne polityczne inicjatywy. Ich wzajemne relacje się zacieśniały, tyle, że hierarchowie, rękami własnymi i podległego kleru z wyborcami mieli kontakt na co dzień, politycy zaś "od święta". Przewaga tych pierwszych stała się więc oczywista i tak, z wzajemnych relacji zrobiły się relacje: "duchowny - polityk" jako główna, "polityk - duchowny", jako oczywista konieczność z racji pewnego rodzaju długu (wdzięczności). Czyli po polsku: "podległość - zależność".

W przeciwieństwie do wiernych w Polsce i ogromnej części ludzi w tym kraju znaczących, wyznaczających sposób myślenia Polaków i ich widzenia rzeczywistości, którzy mentalnie pozostali w Kościele Jana Pawła II do dziś, hierarchowie w Polsce doskonale dostrzegli moment, w którym "Kościół papieża Polaka" tracił na znaczeniu w katolickim świecie, aż niemal zanikł. Bo papież JP II jest już tylko symbolem "dobrego pasterza, który przybywał do wiernych w najdalsze zakątki świata". Nasz papież jest piękną historią dla świata katolików, ale jako osoba, a nie jako wyznaczający dla nich nowe wartości. On zapewne przejdzie do historii, jako jeden z najbardziej lubianych przez wiernych papieży (Franciszek jest dla niego potężną konkurencją, niech no tylko pojedzie do Ameryki Łacińskiej), jego wartości pójdą, już odchodzą, w niepamięć.

Ponieważ politycy, a przede wszystkim wierni, nie dostrzegli tego, co dostrzegli hierarchowie w Polsce, dziś ci ostatni mają nad politykami przewagę. I to jest dla nich bezcenne w obliczu najpierw "wymiękania" Benedykta XVI, a potem nastania Franciszka. Bezprecedensowe standardy, które próbuje wprowadzać Franciszek w Kościele są dla nich ogromnym zagrożeniem. Nigdzie, przynajmniej w Europie i w niewielu krajach na świecie hierarchia Kościoła Katolickiego nie ma takiego wpływu na bieżącą politykę, takiej pozycji w odbiorze opinii publicznej i takiej pozycji materialno-egzystencjalnej chronionej i wspieranej prawem, jak w Polsce. Muszą działać. Jak? Muszą mieć kartę przetargową w licytacji na argumenty ze zwolennikami Franciszka. Z nowymi władzami i standardami Watykanu, jeśli te się zdomowią na dobre, bo to pewne nie jest, a w tej niepewności "nasi" mogą odegrać niepoślednią rolę.

Nie ma w tej grze lepszej karty przebicia na asa "ubogi sługa Kościoła", jak joker "katolickie normy moralne wprowadzone do prawodawstwa krajowego". Stąd bezpardonowe ataki hierarchów w walce z in vitro, związkami partnerskimi, itd. Ataki skuteczne, bo wsparte "uzależnionymi" politykami. I choć ataki te są i będą w najbliższym czasie skuteczne, nie będzie tak nie wiadomo jak długo. Owe normy wprowadzane do prawodawstwa będą bowiem biły w samych katolików, choć ci jeszcze o tym nie wiedzą, nie dostrzegają tego, bo na razie ich to nie dotyczy. Coraz częściej jednak będzie dotyczyć ich, ich bliskich, przyjaciół i znajomych i wtedy zacznie się to zmieniać. Nasi katolicy bowiem mają, bardzo często, to do siebie, że bronią wartości katolickich (również tych, które próbują w parlamencie forsować "uzależnieni" konserwatyści), sami zaś nie przestrzegają tych wartości zbyt gorliwie. Jedno drugiemu nie przeszkadza, bo coś, co ich nie dotyczy, a "dobrze wygląda" poprzeć warto. Schody zaczynają się jak zaczyna to dotyczyć ich, lub kogoś z bliskiego otoczenia.

Póki co jednak, część naszych postów, dzięki hierarchom, katolickiej opinii publicznej oraz katolikom "normalnym", których na razie problemy "antykatolickie" nie dotyczą, nie musi stanowić prawa uniwersalnego dla różnych

światopoglądów. Nie muszą oni rozumieć, że katolik może przestrzegać katolickich norm moralnych nawet, jeśli prawo państwowe pozwala na więcej. Mogą za to rozumieć i domagać się (i to robią), aby niekatolicy musieli przestrzegać norm katolickich nawet, jeśli te są dla nich "za ciasne". Nie muszą, bo **"Państwo im ulega"**.

Oczywiście kiedyś znów okaże się, że Kościół nie ma racji, że musi zmienić niektóre swoje dogmaty, niektóre normy moralne i przekonania.

Zmieni. I przeprosi za np. katolicki język posłanki Pawłowicz, tak jak niedawno przeprosił za Galileusza. Za mordowanie milionów Indian, za palenie czarownic, za uznanie nazizmu... Choć i tak ci, za których przeproszał, jak kiedyś stali się świętymi, tak pozostają nimi do dziś i na wieki wieków. A Galileusz przeszedł piekło na ziemi. Miliony Indian straciło życie, ziemię i własną tożsamość. Czarownice okazały się zwykłymi, niegroźnymi kobietami zadenuncjowanymi przez zawistnych katolickich złodziei, albo głupców. A Pawłowicz... dalej będzie pluć, bo Palikot z penisem jest świnia, a ona "kurwi" w dobrej wierze.

Autor: andrzejs

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl